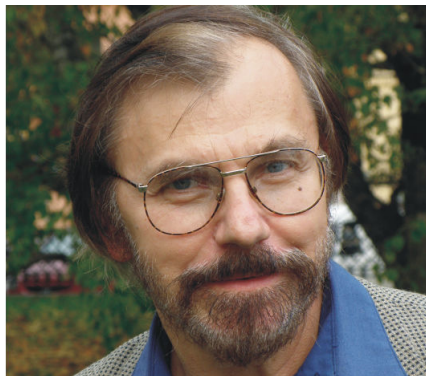


Listy do Pani A. (31)



Więcej słońca!

Droga Pani!

Luty zbliża nas do wiosny. Styczeń jest dla mnie okropny. Nazywam go „poniedziałkiem roku” – bo niczym poniedziałek wlecze się rozpoczynając nowy tydzień, a wyteśniony weekend mający dopiero na horyzoncie. Podobnie i w styczniu daleko do jakichkolwiek świąt, do słońca i ciepła. A jeszcze trzeba się użerać ze śniegiem i lodem na szybach samochodu.

To wszystko są być może drobne uciążliwości, ale też bywają chwile o wiele ważniejsze, dla których warto żyć. Kiedy oto siedziałem pogrążony nieomal w depresji, zadzwonił do mnie Zbyszek Gordziej, gratulując mi tomiku „Pod każdym słońcem”. Stwierdził, że wiele tam jest wierszy znaczących dla polskiej poezji, mówił o głębokiej refleksji, a także o tym, że zrobił sobie wiele notatek z lektury. Nigdy – jak Pani wie – nie doceniałem swojej twórczości, zawsze czegoś mi w niej brakowało. Nie muszę więc Pani tłumaczyć, jak to mnie podbudowało. Ze świecą szukać takich ludzi. Przecież mógł nie zadzwonić, nie podzielić się swoimi refleksjami. A jednak zadzwonił. To świadczy o prawdziwej, bezinteresownej, jakże dziś rzadkiej przyjaźni. A ponieważ Zbyszek Gordziej jest świetnym poetą, to tym bardziej jego wrażenia i ocena są dla mnie ważne. I właśnie takie telefony budzą nas do aktywności.

A kiedy, zaktywizowany przez telefon Zbyszka, poszedłem – pomimo irracjonalnej, psychicznej inercji – do Związku na zebranie, znalazłem tam, z dedykacją dla mnie, tom wierszy Wojtka Kawińskiego. Ucieszyłem się niezmiernie. Bardzo dobry, inny, poszukujący tom. Świadczy to, że poezja żyje, wybitni twórcy dają o sobie znać, wbrew wrzaskom oraz inwektywom rozmaitych niedokształconych internautów i blogerów. Z Wojtkiem znamy się od dawna. Pisywałem o nim, a on zawsze był i – jak myślę – jest nadal bardzo mi życzliwy. To też poetycki przyjaciel. Przyszła Aldona Borowicz, Rysiek Ulicki, był Marek Wawrzkiwicz i Zbyszek Milewski. Moje ulubione towarzystwo.

A wcześniej niejaką noworoczną pociechą był dla mnie wieczór sylwestrowy. Spędziliśmy go u rodziców Basi, koleżanki mojej Joasi; tej samej, która była z nami na Kaszubach. Odniosłem z tego dwie korzyści: nigdzie nie trzeba było jechać, bo to w następnej klatce naszego bloku, a poza tym przebywałem w towarzystwie bardzo pięknej pani domu, a także zaproszonej Starej Basi, też niesłychanie atrakcyjnej. Pisałem już zresztą o tym Pani. Może więc śliczna gospodyni byłaby w stanie jakoś zatrzeć obsesyjny obraz Pani w mojej pamięci? Nawet dałem jej to delikatnie do zrozumienia.

Pomyśli Pani sobie, że straszna świnka ze mnie. Mam wspaniałą żonę Anię, córeczkę, piszę do Pani, a jednocześnie oglądam się za innymi. Może to starość, obawa przed utratą zainteresowania ze strony kobiet, szukanie twórczych inspiracji? Może to rzeczywiście łabędzi śpiew? Niech chociaż to będzie moim niejakim usprawiedliwieniem.

Jednak maleje moje poczucie winy, bo wiem, że wynika ono z naszego wychowania w określonym kręgu kulturowym. Kościół od wieków utwierdza ludzi w poczuciu grzechu, znikomości, skażenia ludzkiej natury. Istotnie, człowiek to zwierzę, ale w osobliwy sposób skonstruowane („zakodowane”) przez Stwórcę, który przecież wiedział co robi. A więc zaden „proch” czy „pył” uzależniony od kaprysu kapłanów.

Skąd taka refleksja? Dostyc głośno się zrobiło, zapewne i Pani słyszała, o liście dominikanina Ludwika Wiśniewskiego do biskupów w sprawie sytuacji Kościoła w Polsce. List dosyć odważny, stawiający diagnozy „fioletowym panom” niemiłe. Jeśli tak dalej pójdzie – konkluduje Wiśniewski – to nastąpi rychły koniec Kościoła w Polsce.

Bardzo dobry i potrzebny list – pomyślałem sobie, a tu we „Wprost” czytam wywiad z Tadeuszem Bartosiem, dawnym współbratem zakonnym Wiśniewskiego. Otóż Bartoś twierdzi, że należałoby Kościół popchnąć ku przepaści, aby prędzej się rozpadł, i z tego rozpadu narodziło się coś nowego. Hieratyczne i ksenofobiczne postawy dzisiejszego kleru, wieczne pouczania, wyłudzenie pieniędzy, zawłaszczanie wszelkich obszarów, z gruntami włącznie, hipokryzja, magiczna liturgia, wszechwładna kontrola, rzucanie anatem, to nie ten Kościół – ewangeliczny, metafizyczny, ponadznaniowy, ponadreligijny. Mnie nigdy nie ekscytowały cudowności, objawienia, święci. Przecież często byli to szarlatani i psychopaci użyteczni w celach politycznych, i dlatego dostawali się na t. zw. ołtarze. Nie rozumiem sensu jakiegokolwiek kultu. Absolut wymaga dialogu intelektualnego, swobody myśli, nie pustych, infantylnych gestów. Wszelkie obrazki, legendy, mity, dobre są dla dzieci, i to nieszczególnie rozwiniętych. Religijność ludowa jest dla mnie ze wszech miar obca.

Bardzo się wniechęciłem z tych słów Bartosia, bo znalazłem w nich potwierdzenie swoich przemyśleń. Twierdzą bowiem, że prawdziwa religijność jest bezwyznaniowa. Po co trzymać się jakichś, często bezsensownych, mitów, wypowiadać jakieś „prawdy” religijne. To wszystko są opowiadki dla bezrefleksyjnego ludu, który musi mieć swojego rozumiałego bożka. Z tego bożka żyją kapłani wszystkich religii, i będą go bronić za wszelką cenę. A mnie się w tej chwili przypomina fragment wiersza Wacka Oszaicy, jezuita zresztą, który napisał: „Grek mnie nauczył: ufaj tylko niepoznawalnemu Bogu”. I to jest kwintesencja. Mnie nie obchodzi ani niepokalane poczucie, ani wniebowzięcia, współistotności, transsubstancjacje. To według mnie tylko nieudolne upostaciowanie pewnej nie dającej się uchwycić i pojąć rzeczywistości. Tej metafizycznej przestrzeni, której tutaj nigdy nie poznamy. A jeśli chcemy się do niej zbliżyć czynimy to samodzielnie i na miarę własnego doświadczenia.

Nie wiem, co Pani o tym sądzi, wychowana w dosyć tradycyjnym duchu, ale ja nie będę przed Panią ukrywał, że ziemską instytucję świątynną mam za nic. Instytucji religijnej – jak powiedziałem – bronią cyniczni kapłani, bo ona gwarantuje im wpływy i stan posiadania. Im więcej wianych, tym obfitsza taca. I oto cała „tajemnica wiary” w wydaniu naszych „duchowych przywódców”. Mało mnie w tej sytuacji obchodzi, czy Kościół zmierza ku przepaści, czy też nie. W każdym razie płakać po

nim nie będę.

W poprzednim numerze „Gazety Kulturalnej” drukowaliśmy wiersze Anity Wiśniewskiej, młodej dziewczyny, która dopiero w tym roku wybiera się z gimnazjum do liceum. Jest tam utwór „Religia”. Niech Pani koniecznie zwróci na ten wiersz uwagę. Ta młodzianka poetka, przedstawicielka, pokoleń, które będą żyły długo po nas, właśnie o tym pisze. Pyta, dlaczego ma szukać Boga w „złoty matłoku kościołów”, czcić Go „metaforą sens gubiącą”. Chce spotkać Boga „bez reguł w śpiewie wiatru na gałęziach”. I oto mamy obraz przyszłości – pragnienie oczekiwania i doświadczenia czystego Absolutu. Ciągłego spotykania prawdziwej, wolnej transcendencji, a nie skretyniałej „bozi” albo opasłego biskupa z twarzą skundlonego buldoga. Jeśli się tego nie pojmie w porę, to do owej przepaści już tylko krok. No, i dobrze!

Cała nadzieja w młodych pokoleniach, bo ci ludzie mają jeszcze niejaką szansę na normalność. Oni myślą już inaczej. Coraz oporniej poddają się ideologicznym indoktrynacjom. Świadczy o tym choćby gremialny udział w imprezach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Przynajmniej na czas Wielkiego Finału zapanowała żywiołowość, uchwały absurdałne i anachroniczne podziały. Ale czy one kiedykolwiek były pomiędzy „zwykłymi” ludźmi? To wszystko napędzają „politycy”, mali i więksi, a tak naprawdę zwykli oszuści, złodzieje i trupożery.

Byliśmy wszyscy pod Pałacem Kultury, bo Joasia brała udział w biegu dla cukrzyków, a jej koleżanka jako wolontariuszka kwestowała na rzecz Orkiestry. Joasia była bardzo przejęta. W dodatku przeczytała w gazecie, że uczestnicy powinni mieć jakieś oryginalne nakrycia głowy i zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co włożyć. Z wrodzonym cynizmem poradziłem jej, by włożyć na głowę papierową torbę z napisem „cukier krzepi”...

Niemal cztery godziny spędziliśmy pod Pałacem. Obserwowałem to wszystko i pomyślałem sobie, że może nie trzeba tracić nadziei. Potem w telewizji mówiono, że kwesta przyniosła rekordowo dużą sumę. To też pocieszające, ale i symptomatyczne. Ludzie wolą dawać Jurkowi Owsiakowi niż innym obłudnym szarlatanom o lepkich łapach, którzy – jeśli trzeba – na pokaz świetnie udają miłosierdzie.

A tymczasem dni upływają. I to nazbyt szybko. Nie ma już między nami Krzysztofa Kolberga, Jerzego Stanisława Sity, Wandy Bacewicz, Zofii Bystrzyckiej – a to dopiero początek tego roku. Ministerstwo Kultury powinno się tylko cieszyć, bo jeszcze jest przed nami trzysta kilkadziesiąt dni, więc jeśli by codziennie umarł jeden pisarz lub artysta, to nareszcie byłby spokój. Pozostaną wyłącznie supermarket, bo po co komu kultura i sztuka.

A przed świętami miałem telefon z Klubu „Ikar”, że nie będzie już warsztatów literackich. Powód – brak kasy. I słusznie! Niech ludzie nie rozwijają swoich zainteresowań. Łatwiej się rządzi stadem frustratów i głupców. Przyznam się Pani, że z tych warsztatów – jak wiadomo – utrzymać się nie mogłem, ale wystarczało przynajmniej na opłacenie komórki, więc mi ich trochę żal, także względów pozaliterackich... Zwłaszcza, że moja Ania znów jest bez pracy.

Luty jednak jest już bliżej światła, więc może nie narzekajmy, a stany depresyjne ustąpią pod wpływem słonecznych promieni, których oby było jak najwięcej.

Życzę więc Pani dużo słońca i pozdrawiam z serca –

STEFAN JURKOWSKI